

ANIOŁ STROŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Modlitwa w komórcie.

W samotnej komórcie dziecina klęczała,
I lezka świeciła jej w oku,
I słówka pobożne tkliwie wymawiała,
Jak anioł boży w obłoku.

I prosty paciorek mówiła przykładnie,
A w niebo głosik szedł czysty ;
A z tem jej tak wdzięcznie, tak było jej ładnie,
Jak gwiazdce w chmurce przejrzystej.

„Dla czegoż komórkę obrałaś, dziecino ?
Nie ma obrazków na ścianie ;
Dla czegoż ci lezki przy modlitwie płyną ?“
Zadała matka pytanie.

„Ach mamol Bóg wszędzie, Bóg widzi, Bóg słyszy!
Tak-eś mówiła mi mama !
I lezkę uronić tak miło w zaciszy,
Wszak prawda ? przyznasz to sama.

Tu cicho, spokojnie i lepiej, że ciemno...
Myśli tam trafią do Boga ;
Bóg widzi w komórcie i czuwa nademną,
I lezka cicha Mu droga.

Nikt mnie tu nie widział, tyś tylko widziała,
Aleś ty anioł mój, mamol !
Nikomui nie powiesz, coś z ust mych słyszała ;
Więc serce było tu samo.“

I święta modlitwa do Boga stąpiła,
Cień jej próżności nie zmazał.
Bo taka pobożność nad wszystko Mu miła,
Tak się Pan modlić przykazał.

S. Jachowicz.



Na kresach.

Opowiadanie z zamierzchłej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Dzieci hercoga najwięcej garnęły się do Krasy. One to jednały dla dziewczęcia względy matki, zwłaszcza ośmioletni pierworodny syn hercoga, chłopię, wąż, które zawsze ciągnęło Krasę do siebie, a ona, swą pieśnią najłatwiej mogła go ukołysać. I ztąd splywały na nią łaski. Lecz dziecię wążło coraz więcej. Składano rozmaite ofiary — nic nie pomagało.

A na dworze hercoga, od niejakiego czasu, uwijała się stara bardzo niewiasta, która, włócząc się po świecie, posiadała jakoby wielką mądrość a siłę.

Zkądby się wzięła, nikt powiedzieć nie umiał, lecz nie jednemu służyła, cierpiano ją i okrucy rzucano ze strawy.

Do niewolników, Słowian, wyraźną miała niechęć. Ujrawszy ich, uciekała, krzycząc a plwając, czasem znowu podkradała się, by zdala na nich spojrzeć.

Krasy nie cierpiała, a łagodne dla wszystkich dziewczę również rzucało jej obelżywe wyrazy, choć w oczach jej nie znać było niechęci ni gniewu. Mimo tego wstępu starucha często rozmawiała z Krasą, a chociaż wyrazy ostre wychodziły z ust dziewczęcia, oczy jednak dziwnym blaskiem świeciły. Stara po rozmowie ukazywała jej pieśń groźną. Krasa odwracała się, uciekając.

Czeladź śmiała się z tych zapasów.

Hercog czasem dla zabawy podburzał, a biorąc się za boki wołał:

— No stara, czemu nie podrapiesz gładkiego lica dziewczki. Zazdrości! Nuże, dalej!

Wtedy stara rzucała się zwykle na Krasę, która zawsze jakoś z walki wychodziła zwyciężko.

Tem zaś śmieszniejsze były te zapasy i kłótnie, że starszka nie wiedzieć jakim mówiła językiem.

Z Germanów mowy ledwie że kilka pochwytała wyrazów; słowiańskich wcale nie знаła; bo gdy hercog kazał niewolnikom próbować z nią rozmowy, jęczała a krzyczała nic nie rozumiejąc.

Jakaby miała mowę trudno było zgadnąć. Że zaś ani jednego w otwartych ustach nie miała zęba, a twarz zmiażdżoną, szramami oszpeconą; nos połamany, jak gdyby twarzą tą ktoś orał po ziemi; niezrozumiałość mowy, — składano na starość i straszne kalectwo. Za odzienie służyły jej poszczepiane kawały skóry włochatej, szmaty wełny, a nie rzadko na obnażonym i poranionem ciele liść przewiązany przylegał.

Jakim bogom się kłaniała, nikt nie wiedział. W potrzebie kładła znak krzyża świętego, innym razem w lasach bogom objaty składała.

Mówiono, że miała jakieś sposoby a leki u-zdrawiające.

Zawołano ją przed żonę hercoga, trzymającą wynędzniałego syna.

Chore chłopię nie odstępowało Krasy.

— Masz sposób? — zapytał hercog, wskazując pacholę.

— Hm, hm! — odpowiedziała, kiwając głową i dając znaki twierdzące rękoma.

— Uzdrowisz, dam ci chleba, mięsa, szat a bogactwa. Nie, głowę zdjąć każę! groził hercog.

Starucha chwyciła się za głowę, a chwając ją znać dawała, że choć na cienkiej i wychudzonej szyi, jeszcze się dobrze trzymała. W końcu podszedłszy do Krasy chciała jej odebrać dziecię, lecz ono całymi siłami trzymało się dziewczęcia.

— Hex, hex! — krzyczała starucha. — Dziecię, dziecię, oho, oho! — wołała, wskazując, aby odebrano tulące się chłopię.

— Hex, hex! powtarzała stara, obiegając dokoła Krasę i potrząsając jej jasnymi włosami, a potem pochwycawszy za rękę, dając znaki, że ją musi uprowadzić, ciągnęła dziewczę za sobą. Biegła tak wprost do lasu, jakby nogi jej młodość odzyskały. Krasa ledwo mogła nadążyć.

Nikt ich po drodze nie zatrzymywał, starucha biegła z krzykiem. Pobożniejsi sądząc, że to złe uprowadza słowiańską dziewczkę, usuwali się, znacząc krzyż, aby to złe odżegnać.

Germanie bowiem, z wyjątkiem niektórych plemion, byli już chrześcianami, co nie przeszkadzało im w końcu VII i początku VII wieku składać potajemne ofiary dawnym swoim bóżyszczom. Byli więc i tacy, co wiedząc o ofiarach składanych przez hercoga za zdrowie syna, uważali Krasę jako jedną z tych, której w lesie miała dopełnić starucha.

Nikt więc, nie tylko nie zatrzymywał ich, lecz każdy z tajemną bojaźnią ustępował z drogi. Pod lasem dopiero ozwał się krzyk Ciarki.

— Krasa!

— Krasa! — jęknął głos drugi. — Puszczaj ją! — wołał Ziewoń, zapominając, że głosu niewolnika nikt nie zrozumie i nikt nie usłucha.

Krasa tymczasem rwała na sobie odzienie, rzucając je wołającym towarzyszom i dając znaki, których oni nie rozumieli. Starucha nie zważając na nie pędziła dalej.

W głębi lasu dopiero zwolniła kroku, a po chwili, uchwyciwszy silniej jeszcze, pociągnęła w jakąś głąb, która jakby nagle przed nimi się rozwarła. Była to nora w ziemi, którą zwierzychyba dziki na legowisko sobie przysposobił. Wejście do niej spletanemi gałęziami drzew, mchem a ziołem tak było porośnięte, iż niktby się nory tej nie domyślił. Starucha świadoma znać

dobrze drogi, odgarnawszy mech i gałęzie, wpełnęła w nią gwałtownie Krasę, wsunawszy się za nią do wnętrza i nie mówiąc, otwór gałęziami zatykała. Ukończywszy swą pracę, przypadła do Krasy, która, wrzucona w norę, padła na mech niby łoże usłany. Dziewczę ze zmęczenia i wysiłku leżało z przyrniętymi oczyma, a starucha okrywała jej czoło wilgotnym mchem i wodą, stojącą w otłucznej skorupie.

— Krasa ty moja! gołąbko jasna, — mówiła z cicha — już mi cię nie odbiorą, ja cię ocale.

— Siwucho! Siwucho! pocziwa, — krzyknęła, zrywając się Krasa i zarzuciła starej ręce na szyję. — Coś ty wycierpiała! — i zaczęła ręce jej okrywać pocałunkami. — Ale tamci, jak ich ocalimy?

— Cicho, niech noc nadejdzie, a pójdę po nich. Znam drogi, którymi się tu przedzierałam. — I znowu tuliła swoją gołąbkę.

Gdy noc nadeszła i niewolnicy, zwolnieni od pracy, legli na wilgotnej ziemi, Ziewoń, przysunawszy usta do samego ucha Ciarkowi, szepnął:

— Chodźmy za nią!

— Ciarek zerwał się, pytając:

— Krasa?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Złamany szczep.

(Dokończenie.)

Jeszcze poranna rosa nie obeschła na murawie, kiedy koło zagrody sołtysa przechodził drogą Stasiek-sierota. W przeciągu paru godzin jakże się zmienił chłopczyna! Jasne wesołe oczy zaczęły lży i smutek, a drobna jego postać jakby się skuliła.

Z bramy wyszedł Pietrek, syn sołtysa, ubrany w granatową sukmanę i w nowe buty z cholewami, wyglądał ładnie i zgrabnie. Wybiegł wesoły, ale się stropił, zobaczywszy zmienioną twarz Staszka.

— Co ci? — spytał ze współczuciem.

Łzy zakręciły się w oczach dziecka, ściągnął usta i, nie mówiąc, ściągnął z pleców koszulę i odkrył swe poranione ciało.

Pietrek aż złożył dłonie na taki widok.

— Dla Boga świętego! kto cię tak skatował?

— To jeszcze nic, ale gorsza bieda, że mnie gospodarz, jak psa, wygnał. Nie wiem, gdzie się teraz podzieję.

— I za cóż to, Staszku, za co?

— Bo mu się zdaje, że mu szczep w sadzie oberwał i połamał.

Pietrek naraz oniemiał — stał poblady, a usta mu drżały od gwałtownego wzruszenia.

— Przecie to nie ty — wybełkotał cicho.

— Jużci nie ja, ale moim przysięgom nie dam wiary.

Torzekłszy Staszek, westchnął ciężko i wolnym krokiem zaczął się oddalać.

— Dokąd idziesz? — zapytał go Pietrek.

— Do studni, wody się napić, bo mi czegoś głowa ciąży.

Pietrek patrzył za oddalającym się Staszkiem, a dreczące myśli nie dawały mu spokoju. Ten sierota, myślał, taki jeszcze mały, a zawsze wesoły, dobry, chętny do usług, wszystkim życzliwy — teraz taki biedny, ze służby wypędzony, skrzywdzony niewinnie...

Pietrek spuścił głowę jeszcze niżej na piersi. On wie najlepiej, że Stasiek cierpi niewinnie, bo to on, Pietrek, złamał ten szczep nieszczęsny; przez niego to krzywda się stała bezdomnemu sierocie, przez jego niegodziwą swawolę! Czy to się godzi?

Oparł się Pietrek o wierzeje stodoły i myślał, co mu czynić wypada.

— Przyznać się do winy? Jaki wstyd, cała wieś będzie go wyśmiewała, będą kpić z niego, wydrwiwać. Straszna rzecz dostać się na języki ludzkie... Nikt nie wie o jego nocej wyprawie, sam Staszek pewnie ani się domyśla... Oj, co by to było, gdyby się tatuś dowiedział, że on, syn gospodarski, bogacz całą gębą, zląkomił się na cudze gruszki i jak złodziej wkradł się do cudzego sadu.

Od tego myślenia aż pot wystąpił na czoło Pietrka.

— Co tu robić? co robić?

Otarł pot z czoła, włożył ręce do kieszeni i zaczął gwizdać, chcąc odpędzić uporczywe myśli. Ale darmo; gdzie się ruszył, wszędzie szły za nim zalane łzami dobre oczy Staszka i jego szczupłe, poranione plecy. Wysiłał rozum, żeby zagłuszyć głos swego serca i sumienia — ale daremnie, był synem uczciwych rodziców, którzy nie pozwolili, aby serce jego i sumienie były uspione i nieczułe. Mógł chłopak złożyć chwilowo, mógł dopuścić się bezmyślnej swawoli, ale zadrżał przed złym czynem, przed krzywdą bliźniego.

* * *

Pan wójt siadał do wieczerzy ze zmarszczonym czołem, a krowy jego smutnie porykiwały, zawczasie zegnane z pastwiska. Wójt wołał, żeby krowy ucierpiały, aby tylko na razie ukarać surowo szkodnika i tą surowością odstraszyć na zawsze wszelkich śmiałków od swego sadu. Cała ta przygoda zwarzyła mu humor i odebrała apetyt. Siedział milczący pośród swej rodziny, gdy wszedł do izby Pietrek sołtysiak. Zbliżył się do stołu i rzekł cichym, ale stanowczym głosem:

— Panie wójcie, przyszedłem powiedzieć, że Staszek nie winien; to ja złamałam wam gruszkę...

Wszyscy zdumieli na takie wyznanie.

— Stasiu niewinny — zaszemrały dzieci.

— Niewinny — potwierdził Pietrek — i leży na drodze pod wierzbą; gorączki dostał z pobicia.

Wójt już o nic nie pytał, cały gniew ustąpił mu z serca. Bez czapki wypadł z izby, a za nim pospieszyła żona i dzieci.

Za chwilę leżał Staszek w izbie na pościeli; sama wójcina gotowała mu herbatę, a dzieci siedziały dookoła i patrzyły na niego, jak w tęczę.

Jeszcze tego samego wieczora soltys przeprowadził Pietrkę, aby za karę odsługiwał wójtowi za Staśka.

Dużo się Pietrek wycierpiał przez czas tego odsługiwania. Cała wieś wkrótce dowiedziała się o jego przygodzie i było z tego powodu wiele śmiechu i drwinek. Często wracał do domu smutny i zniechęcony, ale ojciec jego powtarzał mu zawsze:

— Cierp, kiedyś zasłużył!

I cierpiał chłopak, aż dni pokuty się skończyły, a Staszek zaczął znów wygrywać pod wierzbą. Pietrek niemal co wieczora przybiegał do niego, przynosił mu owoców ze swego sadu, słuchał jego grania; a kiedy zima nadeszła, zabierał go do siebie, do chaty, — bo serdecznie pokochali się obaj chłopcy i razem im było najlepiej.



Nauka czytania i polskiego pisania.

Lekcja XXVI.

Cwiczenia w czytaniu.

Określniki podmiotu i orzeczenia.

Młode drzewo kwitnie dawno. Mały słowik śpiewa bardzo przyjemnie.

Krwiożerca wilk wyje straszliwie. Straszny wąż pełza bardzo prędko. Pilny chłopiec uczy się dobrze. Jakie drzewo kwitnie dawno? Jak wyje krwiożerca wilk? Jaki wąż pełza bardzo prędko?

Niech dziecko uczy się biegle czytać tych liter z góry na dół, z dołu do góry, pojedynczych wyrazów wedle wskazania.

Równocześnie niechaj uczy się pisać, najlepiej ołówkiem w zeszyte z liniami.



ŁAMIGŁÓWKI.

I

Szara da.

Pierwsze, drugie — w kartach będzie,
W lokalach je znajdziecie wszędzie;
Trzecie, czwarte — przedmiot znany
Na okrętach używany;
Gdy pierwsze, trzecie i czwarte złożysz,
Nazwę rośliny z tego utworzysz,
Którą nam lato w darze niesie —
Znajdziesz ją najpewniej w lesie.
Pierwsze, drugie, trzecie, czwarte —
Będzie imię tego warte,
Że pomyślisz nad tem dziecię,
A być może, zgadniesz przecie.

II.

Zagadka kropkowa.

P.k.r.n.b.s.prz.b.j.

W miejsce kropek umieścić stosowne samogłoski, aby utworzyć znane przysłowie polskie.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 26.

I.

Szara da.

ła — mus.

